

Cały nasz świat cz. II — Quentin

Od autora: Dalsza część cyklu o ludziach pragnących szczęścia.

Zapraszam

"Cały nasz świat"

Część II

Musimy porozmawiać

Podczas swojej pierwszej nocy w hotelu, jak mawialiśmy na nasz dom, miałem dziwny sen. Scena przedstawiała pustynny krajobraz. Jak okiem sięgnąć nic tylko sam piasek przetaczany ze szmerem tu i ówdzie przez wiatr. Coraz wyraźniej słyszę czyjeś rytmiczne kroki: dwa cichsze następujące po sobie i trzeci głośniejszy. Raz, dwa i trzy... Raz, dwa i trzy...

Z jakiegoś powodu mam ograniczone pole widzenia. Nagle w zasięgu wzroku pojawia się postać elegancko ubranego mężczyzny w kapeluszu. Facet wygląda, jakby uciekł z historycznej widokówki przedstawiającej pozujących do zdjęcia dziewiętnastowiecznych przemysłowców. Gdy staje w centralnym punkcie obrazu, zdejmuje kapelusz, ociera pot z czoła, po czym kręci sumiastym wąsem z obu stron. Nim nałoży kapelusz ponownie, dyga grzecznie w moją stronę. Potem kontynuuje wędrówkę. Co dziwne w ślad za elegantem podąża... kangur.

Nad ranem budzi mnie łomotanie do drzwi. Otwieram zaspany i nawet nie zdążę powiedzieć: *o co chodzi?*, gdy do środka wciska się odziany w dres jegomość.

– Czołem, sąsiedzie – mówi, stawiając na stole dwie butelki piwa. W mgnieniu oka otwiera obie i nie tracąc czasu na zbędne uprzejmości przechyla swoją. Opróżnia alkohol mniej więcej do połowy i głośno beka. Potem się przedstawia: – Kopecki jestem, ale mów mi Robo.

Tak właśnie poznałem Roberta, to znaczy Robo.

Od momentu tragicznej śmierci rodziców Robo mieszkał razem z dziadkiem pod czwórką. Kiedy zaprosił mnie po raz pierwszy do siebie, pomyślałem, że w życiu nie widziałem większego chlewu. Zupełnie jakby przez kraj przeszło tornado i wyhamowało dopiero u Kopeckich. Słowo daję, że w kuchni widziałem spacerującego po zlewie karalucha. Już miałem go zdzielić zrolowaną gazetą, gdy Robo mnie powstrzymał.

– Ochujaleś. To Brudas.

– Co? – spytałem.

– Brudas – powtórzył dresiarz. – Tak go nazwałem. Trenujemy do zawodów.

Okazało się bowiem, że Robo miał od początku smykałkę do kretyńskich pomysłów, a jednym z nich by-

ły nielegalne walki karaluchów.

Trzeba wam wiedzieć, że młody Kopecki marzył o wielkiej forsie. Już jako kilkuletni gówniarz zachodził w głowę czy na kradzionych komiksach można zrobić interes. Potem było tylko gorzej. Kiedy na przykład znalazł na dzikim wysypisku stos zapaskudzonych pornosów, powycinał z nich istotniejsze fragmenty, którymi następnie handlował za szkołą.

– Cycki i dupy za dwójkę, cipa za piątaka – wspominał podczas rozmowy ze mną.

Jak sam stwierdził interes był niezły, ale drażniło go ciągle narzekanie gnojków w stylu: *skąd mogę wiedzieć czy nie sprzedałeś mi zdjęcia męskiej dupy? Dorzuć jeszcze ze trzy cycki.*

Za tego typu incydenty Robo bez przerwy obrywał od nauczycieli, aż w końcu nabrał awersji do wszystkiego, co związane ze szkołą. W ten oto sposób zrezygnował z wykształcenia zaraz po ukończeniu gimnazjum.

– Będziesz tumanem! – przestrzegał go dziadek, pan Olgierd Olo Kopecki. – Skończysz jako podcieracz dupska jakiegoś bogatego szkopa. Chcesz zmarnować sobie życie?

– Wiem, co robię – powtarzał Robo.

– Chuja tam wiesz. Gdyby nie artretyzm po prostu bym ci nakopał, mały zasrańcu.

– Niech się dziadek nie ciska. Gdzie mój karaluch?

– Widocznie miał dość siedzenia z takim tłukiem i poszedł na studia.

Trudno powiedzieć czy nastoletni Kopecki bardziej miał szczęście czy pecha, kiedy po raz pierwszy trafił do gangu. Jako młody i przebojowy dzieciak od razu zaskarbił sobie sympatię starszyny w organizacji, która zajmowała się głównie drobnymi kradzieżami. Zaczynał jak każdy gówniarz od niezbyt wdzięcznej roli chłopca na posyłki. Dopiero, gdy udowodnił swoją wartość i dorósł, wysłano go w miasto. Od tamtej pory miał za zadanie okradać sklepy muzyczne, lombardy, kioski, zwykłe spożywczaki czy drobnych handlowców. Przy zachowaniu pewnych środków bezpieczeństwa robota nie należała do najtrudniejszych. Niestety ani winylowe płyty, ani alkohol podprowadzany całymi skrzynkami nie zaspokajały ambicji Robo, któremu marzył się skok z prawdziwego zdarzenia.

Jak sam stwierdził po prostu pewnego dnia przechodził obok sklepu jubilerskiego i wszystkie te świecidełka wpadły mu w oko. Nigdy wcześniej nie zwracał na nie uwagi, ale tego dnia jakaś obca siła nakazała mu się zatrzymać. Po dokładnej obserwacji wrócił do domu, by obmyślać przez resztę dnia plan skoku.

Koncepcja obrobienia jubilera nie przypadła starszynie gangu do gustu. Uważali tego typu przedsięwzięcia za zbyt ryzykowne, toteż odmówili Robo poparcia i surowo zakazali podejmowania decyzji na własną rękę.

Jako że młody Kopecki nie przywykł do sytuacji, w której czegoś nie wolno mu robić, zmodyfikował tylko nieco plan. Nazajutrz udał się do jubilera i obejrzał cały zbiór wisiorów, łańcuszków, kolczyków i pierścionków. Potem odwiedził bazar, gdzie z okazałej kolekcji tandety wybrał kilka błyskotek, za które zapłacił.

Dzień później wrócił do jubilera i znowu poprosił o kilka wisiorków. W czasie, gdy sprzedawca sięgał po kolejny egzemplarz łańcuszka, sprytny Robo podmienił oryginalną biżuterię na badziewie z bazaru. Serce w jego piersi waliło jak oszalałe, kiedy zmierzał do wyjścia. W myślach odliczał każdy krok. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Odetchnął dopiero dwie czy trzy ulice dalej. Wtedy wyciągnął z kieszeni skradziony wisiorek, po czym obejrzał go z każdej strony. To samo uczynił ponownie po powrocie do domu.

Robo nigdy nie wierzył w sprawiedliwość i nie uwierzył nawet wówczas, gdy pod drzwiami jego mieszkania stanął gliniarz pytający o drogocenny wisiorek. Wbrew temu, co mówił jego wściekły i zrozpaczony dziadek, żadna siła wyższa nie maczała w tym palców. Robo wpadł, bo był młody i głupi. Jubiler od razu się połapał, z kim ma do czynienia i wykorzystał swoją szansę, by usadzić zbyt zuchwałego młokosa.

Pech Kopeckiego polegał na tym, że nie zdołał w porę sprzedać skradzionej biżuterii, a co gorsza ukrył ją we własnym pokoju, toteż nikt nie miał problemów z wydaniem werdyktu w sprawie. Nadziei na pomyślnie zakończenie nie miał nawet dziadek Olo, który wyznał:

– Gliniarz, który po niego przyszedł, tak na marginesie całkiem pocziwa chłopina, powiedział, że kiedy zaczęli sprawdzać kartotekę tego gnojka, w drukarce zabrakło papieru.

Robo został skazany na trzy lata więzienia, w zawieszeniu na pięć. Miał szczęście, że pomimo złamanej obietnicy ludzie z gangu okazali lojalność, posyłając mu do końca odsiadki paczki.

Kiedy Robert Robo Kopecki powrócił na łono społeczeństwa, był starszy o dwa lata i bogatszy o kilka ważnych znajomości. Gang, którego nadal był członkiem, powitał swego syna marnotrawnego z należytym szacunkiem, w końcu on jako jedyny spędził w pace więcej czasu niż dwa dni. Robo zwolniono za dobre sprawowanie, jednak widmo kary w zawieszeniu nie pozwalało zbyt intensywnie korzystać z życia. Prócz kilku drobnych, acz niezbyt groźnych w konsekwencjach wyskoków młody kryminalista był potulny jak baranek. Wiedział, że siedzenie w pace nie jest najlepszym zajęciem dla ludzi w jego wieku, toteż unikał kłopotów i kto wie czy nadal nie pozostałby „czysty”, gdyby nie pewne okoliczności.

Prawdziwą iskrą, która roznieciła ogień w chłodnym dotychczas sercu, było pojawienie się kobiety, dla której stracił głowę. Zaczęło się to niedługo po tym, gdy zamieszkałem w hotelu.

Pati – tak nazywano szczupłą, wysoką i pewną siebie jak cholera blondynkę, dla której najzwyczajniejszy chodnik ciągnący się wzdłuż ulicy był niczym wybieg modowy w Mediolanie. Wprost uwielbiała robić wokół siebie szum, a flirtowanie miała we krwi chyba odkąd ukończyła piętnaście lat. Było jeszcze coś, czego Robo z pewnością nie dostrzegał, zaś mnie biło w oczy niczym neonowy szyld rozbłyskujący nad głową kobiety słowami WYNIOSŁOŚĆ.

Jak przystało na twardą sztukę Pati miała charakterek, ale zupełnie brakowało jej gustu. Ubierała się jak dziwka, słuchała tandetnej muzyki, nie sądzę też, by miała czas na czytanie książek ani oglądanie wartościowych filmów. Szczęsny nazywał takie dziewczęta larwami i muszę przyznać, że do Pati takie określenie całkiem nieźle pasowało. Jeśli Alicję prócz oszalamiającej urody charakteryzował osobisty, bardzo kobiecy urok – a tak właśnie było, Bóg mi świadkiem – jedynym atutem wybranki Robo mogła być seksualność, choć i w to powątpiewałem.

– Spójrz na te nogi... i dupcię... i cycuszki... pizdeczko pięknoto – komplementował na swój sposób Robo, gdy obserwowaliśmy wędrowną Pati do sklepu monopolowego, gdzie pracowała. – Q, mów co ch-

cesz, ale tak właśnie wygląda matka moich dzieci.

– No nie wiem – odparłem.

– Czego, do chuja pana, nie wiesz...? – Kopecki spojrział na mnie srogo.

– Ma trochę zbyt wąskie biodra – rzekłem.

– A ty, kurwa, kto? Ortopeda?

– Natura ukształtowała nas tak, że podświadomie rodzicielkę poszukujemy wśród kobiet z szerokimi biodrami.

Robo patrzył na mnie, jakbym powiedział coś odrażającego. Potem stwierdził.

– Nie wiem, stary, ale jak dla mnie jesteś trochę zbokiem.

Rzeczywiście mogłem sobie darować tego typu uwagi.

Robo był zdesperowany do tego stopnia, że pewnego dnia wyskoczył z irracjonalnym pomysłem.

– A może napisałbym dla niej wiersza...?

– Wiersz – poprawiłem go. – Masz jakieś pojęcie o poezji?

– Wiem tyle, że niektóre laski lubią taki szajs. Pomógłbyś, co?

– Nie potrafię pisać – odparłem.

– Ale dużo czytasz.

– To coś zupełnie innego.

– Wystarczy, że naściemniasz, że jest najpiękniejsza na świecie i takie tam bzdety. Że reszta lasek może jej buty lizać.

– Buty lizać?

– No wiesz, że łyka resztę konkurencji z palcem w cipie.

Prawdę mówiąc nie sądziłem, aby dziewczyna pokroju Pati była w stanie docenić osobiste wyznanie kogokolwiek, a już na pewno nie uwierzyłaby, że Robo zdołał sklecić kilka rymów, stroniąc od przekleństw. Mimo to zgodziłem się.

Kilka dni później do moich drzwi ponownie załomotał Robo.

– Chyba nic z tego – oznajmił.

– Myślisz, że go przeczytała? – spytałem.

– Pewnie, kurwa. I to na moich oczach. Przeczytała, a potem osmarkała się ze śmiechu.

– Jak zareagowałeś?

– Zapłaciłem za browar i wyszedłem.

Tak, to przykre.

Jako się rzekło Pati wywróciła świat Robo do góry nogami. Do sklepu, w którym pracowała, Kopecki chodził po kilka razy na dobę. Żeby nie wyjść na mięczaka i lalusia próbował ją jakoś podejść, ale ta z reguły unikała konwersacji z klientami, którzy nie prezentowali pewnego poziomu zamożności. Robo natomiast, chwilę po wyjściu z więzienia, nie śmierdział groszem. Wtedy przypomniał sobie o gangu.

Robo opowiadał, jak w pace poznał gościa, którego zwano Diabłem. Ów człowiek był recydywistą, który trzy czwarte życia spędził za kratkami, ale, jak sam twierdził, wina leżała po stronie współników.

– Zwykle tak już jest, że znajdzie się śmierdziel, który podkuli ogon i sprzeda kumpli – mówił kryminalista. – Zdrada jest czymś niewybaczalnym, rozumiesz? Lepiej odgryźć sobie rękę, niż puścić kantem kumpla.

Zdaniem Diabła drobne kradzieże nie były warte czasu ani ryzyka. Liczyły się tylko skoki na naprawdę dużą kasę. W pace dokładnie przeanalizował przypadek Robo i wyliczył wszystkie błędy popełnione z oszustwem u jubilera takie jak: brak organizacji, niedoskonała obserwacja, „słaby kit” i brak pomysłu na upłynnienie towaru.

– Po jaką cholere kradłeś gówniane świecidełka, skoro nie miałeś na nie kupca? – dociekał Diabeł. – Takie rzeczy załatwiasz zawczasu. Zanim mnie capnęli, miałem na oku jeden bardzo dobry temat. Zamierzam do niego wrócić.

– Co masz na myśli? – dopytywał Robo.

– Sprzęt elektroniczny. Duża partia. Gdybyśmy mieli to zrobić razem, wyjdzie po około pięć dych na gębę.

– Pięćdziesiąt tysięcy?

– Kupa forsy, co?

Robo kupił pomysł kolegi od razu. Od tamtej pory pobyt w celi umilały mu fantazje na temat pięćdziesięciu kawałków. Śnił na jawie o tym, jak wsiada do swojego luksusowego samochodu i mknie ulicami miasta z otwartym dachem. Właśnie tak wyobrażał sobie wolność.

Nic więc dziwnego, że po opuszczeniu więzienia doznał zawodu. Zamiast luksusowego auta czekał dziadek Olo w śmierdzącym starością mieszkaniu na pierwszym piętrze. Po kilku dniach doszedł nawet do wniosku, że siedzenie beczynnienie we własnym pokoju przypomina trochę pakę. Pozorna różnica polegała na tym, że z pokoju zawsze mógł wyjść. Sęk w tym, że Robo nie wiedział, co ze sobą począć i dokąd mógłby pójść.

Przez jakiś czas udawało się nie myśleć o wielkiej kasie, jednak dzień, w którym Pati odrzuciła jego zaloty wyśmiewając wiersz, na nowo rozbudził pragnienie posiadania fortuny. Mniej więcej w tym samym momencie wyskoczyłem przez okno, zaś Diabeł wyszedł z paki za dobre sprawowanie.

– Tu się zaszyleś, pizdeczko pięknoto! – powiedział uradowany Diabeł stając u drzwi mieszkania Kopeckich. Z największą serdecznością wyściskał zaskoczonego Robo, po czym od razu przeszedł do oglądania mieszkania. – Całkiem niezły ten kwadrat – pochwalił.

– Dawno wyszedłeś? – zapytał Robo.

– Wczoraj – odparł tamten. – Cały dzień jechałem.

– Nie byłeś nawet w domu?

– Że niby gdzie? Pomyślałem, że przekimam u ciebie kilka nocy. Poza tym mamy wspólne sprawy do załatwienia. Chyba nie wymiękasz, co?

– Jasne, że nie.

– No i git.

– Nie wiem tylko czy dziadek się zgodzi. To jego mieszkanie.

– Bez obaw. Będę niewidzialny.

Wbrew wcześniejszym zapowiedziom Diabeł stale dawał o sobie znać. Zaniedbany salon wybrał na swoje królestwo, zaś młodego Kopecckiego uczynił poddanym. Stale mówił: *Robo, skocz po browar, fajki albo po coś do żarcia*. Tylko dziadek Olo pozostawał nieugięty wobec żądań i gróźb wytatuowanego oprycha.

– Pozbądź się wreszcie tego kretyna, zanim stracę cierpliwość – nalegał stary Kopeccki. – Zobaczysz, durniu, że wpędzi cię w kłopoty.

– To nie potrwa długo, dziadku – zapewniał Robo.

– Stale to powtarzasz. Wczoraj przyłapałem sukinsyna, jak walił gruchę przed oknem. Mam tego dość, rozumiesz?!

– Dobrze już, dobrze.

Kiedy Diabeł wrócił do mieszkania Kopeckich wieczorem był pijany. Robo od razu wykorzystał szansę, aby przyprzeć go do muru. Zażądał, by czym prędzej dokonali skoku na sklep ze sprzętem elektronicznym, o którym tyle mówili. Diabeł najpierw się zezłościł, ale wiedział, że obecnie nie ma żadnych szans w starciu z silnym młokosem, toteż ustąpił.

– Luz – powiedział. – W weekend wyjeżdżamy.

– Lepiej, żebyś nie ściemniał, Diabie...

Podróż trwała długo, ale okazało się, że sklep z opowieści Diabła istniał naprawdę. Zgadzały się wszystkie szczegóły, co bardzo uspokoiło Robo.

– Co zrobimy z towarem? – zapytał Kopecki.

– Bez obaw – zapewniał Diabeł. – Wszystko pójdzie od ręki.

Na kilka godzin przed planowanym skokiem Diabeł spał w aucie jak niemowlę. Robo nie mógł zmrużyć oczu. Odkąd wyleciałem oknem biedaczyna miał koszmary. W końcu przestał nawet fantazjować na temat Pati i gdy dotarło do niego, że nie ma już powodu, by gromadzić forszę, zadzwonił budzik ustawiony na desce rozdzielczej furgonetki. Diabeł otworzył oczy i ziewnął.

– Idę osuszyć szmatę i zaczynamy – oznajmił.

Robota nie należała do najtrudniejszych. Zadanie Robo polegało na ustawieniu furgonetki na tyłach sklepu i załadowaniu towaru w postaci telefonów komórkowych, laptopów, monitorów, odtwarzaczy dvd, kamer, aparatów, sprzętu AGD i tak dalej. Wcześniej Diabeł musiał uporać się z rygłem u drzwi od strony zaplecza, co dla etatowego włamywacza nie stanowiło trudności. Z pewnego źródła Diabeł miał informację, że wewnątrz lokalu strzeże tylko jedna kamera przemysłowa umieszczona na tyłach. Wystarczyło jedynie ją zaślepić, a reszta pójdzie jak po maśle.

Cała akcja zajęła im najwyżej pół godziny. Po tym czasie załadowana po brzezi furgonetka wytoczyła się na ulicę i ruszyła w drogę powrotną. Diabeł musiał co chwilę upominać prowadzącego Robo, by ten zwolnił.

– Chcesz, żeby nas zatrzymała drogówka? Ale masz pietra. Stary, trzęsiesz się jak gówno w galarecie.

Diabeł rżał z rozbawienia, ale Kopeckiemu wcale nie było do śmiechu. Wciąż myślał o odsiadce, którą miał za sobą. Dobrze wiedział, że kradzież to jedynie część powodzenia, że w każdej chwili do jego drzwi może zapukać policjant, by znowu odwieźć go do aresztu, a przecież jeszcze nie minął wyrok w zawieszeniu. Drugiej wpadki dziadek po prostu by nie zniósł.

I nawet tydzień później, gdy skradziony sprzęt był w rękach kogoś innego, a forsa spoczywała w bezpiecznym miejscu, Robo nie mógł pozbyć się wrażenia, że każdy przejeżdżający w okolicy radiowóz ma za zadanie schwytać go i postawić przed sądem. Trochę trwało, nim bogaty Robo odzyskał spokój.

Tego dnia Pati skończyła pracę później niż zwykle. Kiedy wyszła na zewnątrz, było już ciemno i padał deszcz. Niepewnym krokiem omijała kałuże, gdy nagle oślepiło ją światło. Zaraz po tym przestrzeń na pustym parkingu przed sklepem wypełnił ryk silnika białego BMW. Przez opuszczoną boczną szybę wyjrzała znajoma twarz.

– To znowu ty – powiedziała Pati.

– Do dupy pogoda, co? – rzekł Robo.

Dziewczyna spojrzała w niebo, potem zaś odparła:

– A no do dupy.

– Bez sensu tak moknąć. Wsiadaj, podrzucę cię.

Od tamtej pory Robo zawoził Pati do pracy i odwoził do domu.

Związek tych dwojga od początku nie należał do najłatwiejszych przepraw przez życie. Robo szybko doszedł do wniosku, że znacznie łatwiej ukraść całą furgonetkę towaru niż dogodzić chimerycznej kobiecie, która z jednej strony wymagała uwagi, z drugiej zaś narzekała, że towarzystwo Kopeckiego jej nie służy. Pewnego razu stwierdziła nawet, że dusi się w związku i trzeba koniecznie coś z tym zrobić. Zwykle zaczynało się od niewinnych słów:

– Musimy porozmawiać.

Kiedy Robo usłyszał to za pierwszym razem, był zaskoczony, ale się nie bał. Pomyślał, że drobiazg w postaci biżuterii załatwi sprawę i miał rację. Obdarowywanie Pati weszło mu w nawyk do tego stopnia, że zapomniał o topniejących oszczędnościach. Forse trzymał w plastikowej beczce zakopanej w ziemi na działce dziadka. Umieścił ją tam dzień po dokonanym skoku. Z początku liczył każdy wyjęty banknot. W tym celu nosił przy sobie notes wskazujący stan salda. Z czasem pogubił się jednak w obliczeniach, a z każdym kolejnym *Musimy porozmawiać* Pati czerpał prosto z beczki całymi garściami.

Robo pragnął uchodzić za stanowczego twardziela, jednak miękł pod wpływem żądań Pati.

– Wyrzuć te pieprzone dresy i zacznij się ubierać jak mężczyzna – narzekała dziewczyna.

– Skarbie, wszyscy tak chodzą – zauważył Kopecki.

– Chyba na wsi.

Nie było innego wyjścia. Robo musiał zrzucić roboczy mundur i przedzierzgnąć się w przetarte jeansy, koszulę i skórzaną kurtkę. Właściwie tylko kurtka przypadła mu do gustu i był z niej naprawdę dumny.

Była jeszcze jedna rzecz, z którą młody Kopecki nie potrafił sobie od początku poradzić. Mianowicie za każdym razem, kiedy docierała do niego plotka na temat absztyfikantów Pati, wpadał we wściekłość. Kiedyś usłyszał, jak jeden gówniarz przechwalał się, że widział laskę ze sklepu na dyskotecę i wetknął jej palec pod spódniczkę.

– Który to...? – pytał chłopaków z gangu, ale żaden nie potrafił podać dokładniejszego rysopisu. Od tamtej pory Robo patrzył podejrzliwie na każdego mijanego na ulicy gnojka, a w bagażniku BMW woził na wszelki wypadek kij baseballowy.

Najwięcej plotek dotyczyło domniemanego romansu Pati z właścicielem sklepu. I chociaż Robo trwonił wiele godzin na dyskretną obserwację sklepu, nigdy nie przyłapał ukochanej na gorącym uczynku. Robienie wyrzutów też nie miało sensu, gdyż za każdym razem kończyło się kłótnią i płaczem dziewczyny, a to zwykle generowało kolejne niepotrzebne *Musimy porozmawiać*.

Psychoza Robo na temat zdrady stawała się coraz bardziej uciążliwa tak dla niego, jak i wszystkich woła. W końcu postanowił coś z tym zrobić. W tym celu wykonał telefon.

- Siemasz, przyjacielu, tu Robo – powiedział do słuchawki. – Jest sprawa.
- Pizdeczko pięknoto! – rozległo się po drugiej stronie. – Sto lat. Czego ci trzeba?
- Co musiałbym zrobić, żeby jeden gość wyparował...?

Diabeł chwilę pomyślał, nim odpowiedział:

- Da się zrobić, ale potrzeba kasy.
- Dużo?
- Sporo. Może przyjadę, pogadamy.
- W porządku. Dzięki, Diabie.

Jeszcze tego samego dnia Robo zajrzał do beczki i ku własnemu zdziwieniu spostrzegł, że na dnie leży tylko kilka banknotów. W głowie zadźwięczało *Musimy porozmawiać*, po czym ogarnęła go panika.

Zgodnie z obietnicą Diabeł przyjechał do miasteczka w weekend, by obgadać sprawę podczas imprezy. W przeciwieństwie do Kopeckiego nie trwonił czasu ani tym bardziej forsy na uganianie się za jedną dziewczyną i pieniądze zdobyte po skoku zainwestował głównie w narkotyki. Stojąc twarzą w twarz z Robo i pokazując mu „uśmiechnięta” tabletkę, wyglądał jak biznesman.

– Wchodzę pierwszy raz do takiego lokalu jak ten i rozdaję towar za free – rzekł kryminalista. – Wszyscy podstawiają łapy. Następnym razem mają ze sobą forszę. Dużo forsy.

Robo znał mechanizm handlowania narkotykami, toteż nie miał powodów, by sądzić, że jego przyjaciel kłamie.

Diabeł zrobił też wrażenie na Pati, która była w szampańskim nastroju.

- Fajny ten twój Diabeł – powiedziała dziewczyna podczas tańca, obejmując partnera.
- Tak, fajny – przyznał Robo.
- Uśmiechnij się, żuczku. Cała noc przed nami.

Pati miała niespożyte siły, jeśli idzie o taniec. Płasała po podświetlonym parkiecie przeważnie sama, gdyż Robo nie miał nastroju. Większość czasu spędził przy barze rozmawiając z Diabłem o interesach.

- Kiepsko – rzekł Diabeł na wieść o bankructwie Robo. – Tego nie można załatwić na kredyt.
- Wiem – przyznał Kopecki. – Zapomnij. Niepotrzebnie cię fatygowałem.
- Momento. Dajże, kurwa, pomysleć. Jest jeszcze jedna opcja.
- Jaka?

– Zrobimy to sami.

Robo prychnął ze śmiechu.

– Chyba zwariowałeś.

– Stary, to żaden problem załadować dziada do bagażnika i przewieźć po lesie. Właściwie już dawno chciałem spróbować. Zrobię to za dwie dychy. Potem wejdziemy w spółkę i spłacisz swój dług.

– Zabiłbyś człowieka?

– Jak trzeba, to trzeba. Jeśli jesteś pewien, że koleś obraca ci laskę, nie ma rady.

Robo spojrział w stronę roztańczonej Pati. Przez chwilę myślał, po czym odrzekł:

– Dobra.

Tej nocy młody Kopecki przesadził z alkoholem. Półprzytomny leżał na tyłach swojego BMW, które z brawurą prowadził Diabeł. Obok kierowcy siedziała Pati ubawiona jak nigdy. Robo nie mógł pojąć, co się z nim dzieje. Owszem wypił za dużo, ale jeszcze nigdy po kilku głębszych nie stracił zupełnie kontroli. Resztkami świadomości doszedł do wniosku, że Diabeł musiał wykręcić mu numer i dosypać jakiegoś świństwa do wódki.

Robo nigdy nie opowiadał o koszmarach, jakie miewał zaraz po mojej samobójczej śmierci. W ogóle nie mówił o swoich snach. Tamtej nocy, gdy zaniemógł, doświadczył wizji, która i dla mnie nie była obca. Ujrzał spacerującego przez pustynię starca z kangurem. Czy to możliwe, abyśmy obaj śnili o tym samym i co, do licha, miało to oznaczać...? Czyżby po hotelu wciąż tułał się duch pana Turnera, australijskiego imigranta...?

Kiedy młody Kopecki ocknął się nad ranem we własnym pokoju, zrzucił wszystko na karb substancji, którą go odurzono. Nie wiedział przecież, że kilka lat wcześniej śniłem dokładnie to samo. Zresztą czy to cokolwiek zmieniało?

– Jak się tu znalazłem? – zapytał dziadka siedzącego przy łóżku.

– Przyniósł cię ten bandzior – wyjaśnił starzec. – Wyglądałeś jak rozjechany kot.

– Muszę zadzwonić do Pati.

Dziewczyna niestety nie odebrała ani tego samego dnia, ani następnego. Mieszkanie, które wynajmowała, świeciło pustkami. W poniedziałek nie stawiała się nawet w sklepie, choć powinna była zacząć pracę od rana. Robo cierpliwie czekał w swoim aucie na parkingu, nie spuszczać z oka wejścia do sklepu. Popołudniu wyszedł do niego właściciel, który oznajmił:

– Kazała ci to przekazać – rzekł, wręczając Kopeckiemu kopertę.

Pati oznajmiła w krótkiej wiadomości, że odchodzi na zawsze. Pisała, że od dziecka marzyła o prawdziwej karierze modelki, piosenkarki, aktorki lub dziennikarki. Sama nie potrafiła się zdecydować, ale wierzyła, że teraz wszystko się zmieni. Na końcu poprosiła, by jej nie szukał.

Robo zgniótł kartkę w dłoniach, po czym odrzucił ją za siebie. O dziwo nie był zły na dziewczynę. Momentalnie uświadomił sobie, że Diabeł go zdradził. Ten sam Diabeł, który twierdził, że już lepiej odgryźć sobie rękę niż zrobić w konia kumpla. Właśnie tak. Lepiej odgryźć...

– Co ty znowu wymyśliłeś, matole? – dociekał dziadek Olo, widząc jak wnuk ubiera się w przedpokoju – Słowo daję, że zaraz ci przyleję.

Robo stanął naprzeciw staruszka i spojrzał mu w oczy.

– No, dalej, odpyskuj coś, gówniarzu – prowokował Olo Kopecki, ale Robo objął tylko dziadka jak jeszcze nigdy w życiu, po czym powiedział:

– Dbaj o siebie, dziadku. Dziękuję, że przy mnie byłeś przez te wszystkie lata.

Staruszek był w takim szoku, że w mgnieniu oka minęła mu cała złość. Wzrokiem pełnym niepewności odprowadził wnuka do drzwi.

– Jesteś pewien, że dostanę tę robotę? – pytała Pati, poprawiając po raz kolejny usta czerwoną szminką.

– Jasna sprawa, kociaku – zapewniał Diabeł. – Dobrze znam producenta.

– A co jeśli nie spodobam się reżyserowi...?

– Posłuchaj. Reżyserzy i cała reszta ma gówno do gadania. Liczy się tylko producent, bo to on wyklada kasę na film, łapiesz?

– Obyś miał rację. Idę, życz mi powodzenia.

– Połam obcasy, kociaku. Poczekam tu na ciebie.

Wysiadła z auta i obciążony sukienką ruszyła w stronę studia telewizyjnego.

Po około trzech kwadransach Diabeł wysiadł z samochodu, aby rozprostować zdrętwiałe kości. Sięgnął do kieszeni kurtki po papierosy, ale nim wyjął jednego, silne uderzenie w głowę ścięło go z nóg. Kolejne piętnaście minut leżał nieprzytomny, a kiedy otworzył oczy, nie ujrzał nic więcej prócz ciemności. Później było wiele wstrząsów i ciągły warkot silnika.

Nastąpiła cisza. Następnie: dźwięk otwieranych drzwi, zamykanych, przytłumione kroki i tyknięcie zamka bagażnika. Wreszcie do środka wpadło ostre światło, a wraz z nim świeże powietrze.

– Wyłaż – nakazał Robo.

Skulony i wciąż oszołomiony Diabeł z największym trudem wyszedł z bagażnika. Trzymając się za zakrwawioną głowę spojrzał na Robo, który w prawej ręce dzierżył kij baseballowy.

– Możesz mi to wytłumaczyć...? – zażądał Diabeł.

– Jesteś śmieciem – odparł Robo. – Nie pożyczysz długo.

- Ty chyba nie myślisz, że obracam twoją dupę... Serio? Zabrałem ją do miasta, bo chciała robić karierę.
- Za co siedziałeś, Diabie?
- Co?
- Słyszałeś.
- Przecież wiesz. Kilka włamów i kradzieże.
- Co jeszcze?
- Nic.

Robo zamachnął się i zdzielił kryminalistę pałką w kolano. Tamten ryknął na całe gardło, po czym upadł na ziemię.

- Słyszałem, co mówili pod celą – rzekł Kopecki. – Jesteś jebanym gwałcicielem i pedofilem. Co mi teraz powiesz?
- Dobra – odparł zwijający się z bólu Diabeł. – Nawywijałem trochę z jedną panną. Była młoda i odpierdoliło mi po kwasie.
- Patrzyłeś na dzieci z okna w moim mieszkaniu. Przyznaj się.
- Nie, przysięgam.
- I Pati też nie tknąłeś, co?
- Spokojnie, stary. To nic nie znaczy. Jeden niewinny numer.
- Odgryziesz sobie rękę?
- Co ty chrzaniisz, Robo...?
- Tak myślałem.

Kopecki zamachnął się jeszcze kilka razy, dopóki nie stwierdził, że z głowy Diabła została miazga. Potem usiadł pod drzewem i długo płakał.

Pełniący tego popołudnia dyżur młody posterunkowy porządkował właśnie raporty, gdy na komisariat wszedł ubabrany od krwi mężczyzna. Kopecki położył spurpurowiałe dłonie na pulpicie, gdzie zwykle lądowały wypełnione przez poszkodowanych dokumenty.

- Wielu tu was? – spytał Robo.

Zaskoczony policjant stał jak wryty, trzymając w dłoniach tekturowy skoroszyt. Po chwili odpowiedział:

- Do czternastej będę sam.
- Chodź, pokażę ci ciało jednego bydlaka.
- Pan ma krew na rękach – zauważył wciąż oszołomiony funkcjonariusz.
- Spokojnie, to nie moja krew.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Quentin, dodano 21.12.2018 09:49

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.